

Przeznaczenie—Kobieta.

Wszyscy znaliśmy Miłosza Strzemię, wysokiego, tegiego mężczyznę, który imponował herkulesową siłą, a też jako malarz, bo był znanym artystą malarzem, wstawiał się portretami kobiecimi, u nas i zagranicą... Kochaliśmy go również, bo dzielił z nami radość i smutek, a już, ilekroć „zawinał do portu wysp błogosławionych“, jak mawiał, gdy posiadał większą gotówkę — sprzątał nas, „marnarzy bezdomnych“, na uczyty, które były iście lukullusowymi biesiadami, nie mówiąc o serdecznym nastroju, jaki panował dzięki Miłoszowi, który potrafił bawić drugich, jak Rzymianin...

Miłosz - Cezar! — wołaliśmy — niemasz wśród nas Brutusa, któryby cię zdradził, lub sztyłem pozabawił radości życia...

Ale Miłosz - Cezar od pewnego czasu wydał się nam tajemniczym bardzo... Zaczęliśmy go posadzać, że... ma ochotę wymalować arcydzieło nowe, stąd zaduma i melancholja przed słońca świtem... Im głębszy mrok, tem rozkoszniejszy, jaśniejszy świt...

Ba! zaczął nas unikać... A że mieszkaliśmy w wielkim środowisku życia, stolicy i mieście o szerokiej peryferji, tedy każdy, pochłonięty sobą i walką o jutro w coraz to bardziej czarniejszym zwierciadle, nie myślał tak o Miłoszu... Ale, ilekroć się zeszliśmy, każdy rzucił pytanie:

— Co tam Miłosz porabia? Pewnie maluje i zamknął drzwi od hałasów Europy!

Nawet żony nie widywaliśmy, tej uroczej pani Jadwigi, w której na zabój się kochali poeci oraz literaci, bo umiała im głowę zawrócić, a już godzinami dysputować o szerokich prądach od romantyzmu do futurizmu...

Spotkałem starszego odemnie, Jana Kuszela, rzeźbiarza, który często zaglądał do Miłoszów — więc go pytam:

— Cóż Miłoszowie! Czy on może zamierza nas opuścić?...

— Zgadłeś!

Ale Kuszela, nie dał się kusić, więc tylko tem jednym słowem zbył mnie, obracając temat naumyślnie w stronę wręcz przeciwną, mówiąc o wystawie oraz o swoim pomniku Chopina.

Starczyło mi jedno słowo. Czekał! — pomyślałem. — spotkam młodego „Jeremiasza“ (nazywał się właściwie Jeremi Kostjakow), a ten mi wyśpiewa, gdy mu powiem, że Jadwiga, pani Jadwiga... kocha się w nim...

„Jeremiasz“ chadzał do kawiarni, a lubił tam marzyć godzinami, wpatrzony w ruch uliczny, gdy sam ukrywał się w powijaki snów o... pani Jadwidze...

Mając tedy czas, bo skończył w tym dniu akurat ostatni rozdział mojej powieści... „wałę“, co się zowie, aby zastać „Jeremiasza“.

Można było myśleć raczej o trzęsieniu ziemi i zniknięciu kawiarni, ulicy, ale nigdy o niebytności „Jeremiasza“, marzącego...

Więc kłaniam się mu z ulicy... Nie zobaczył, rozmarzony, szukający w każdej kobiecie, podobnej do pani Jadwigi... a podobieństwo było niemożliwe, boć, jak twierdził, tak pięknej, drugiej niemasz na świecie!...

Witam „Jeremiasza“, a że był bardzo grzecznym człowiekiem, tedy strzepnął mazurek pyłek, by okazać jeszcze kwiat wdzięku i poezji, bo był zresztą bardzo pięknym młodzieńcem...

— Dobrze pan wygląda! — zacząłem.
— Wygląd mój nie stanowi jeszcze o mych myślach i duszy.

— Ale! co porabiają państwo Miłoszowie?...

— On! Iotr! — przepraszam, ale muszę tak powiedzieć...

— Co? ma miłość Boga, bo i ja zacznę zlorzczyć panu!...

— To o niczem pan nie wie?...

— Najzupełniej, ale dowiem się od kochanego pana!...

— Ostatnią pracą tego artysty, jak panu wiadomo — była „Kobieta - przeznaczenie“ czy „Przeznaczenie - kobieta“... I sam swój los wymalował!... Mogą poeci przeczuć wiele, mogą też i malarze...

Tu „Jeremiasz“ powiódł wzrokiem po ulicy, bo przeszła kobieta o kibici, tak ładząco podobnej do pani Jadwigi...

— Ale! Kto mu służył za model?... Pan wie, że u znanego lekarza - Polaka, służyła Zofia Mirecka, ta „djabalnie kusząca“, jak ją zwał Kuszela, kobieta... Pochodziła ze wsi, skąd i pan Strzemię, a więc znali się... Podobno jeszcze, gdy zjeżdżał jako uczeń na wakacje do domu... Wówczas ja... pokochał!...

Znowu oderwało uwagę „Jeremiasza“ oblicze a la pani Jadwiga, ale sromotnie się zawiódł, więc ją dalej mówił:

— Co za zbieg okoliczności, ta Mirecka przyjechała z żoną lekarza, boć ona też pochodzi, skąd i pan Strzemię... Wszyscy z tej „przeklętej“ wioski...

(Uderzyły mię słowa: „Iotr“, a teraz „przeklętej“ — ze słownika Jeremiasza, który tylko szafował poetycznymi słowy, unikając wulgarnych lub dosadnie ulicznych!).

— Miłoszowie często odwiedzają lekarza... Więc pan Miłosz postanowił wymalować Zośkę... Biedna, ofiara dzisiaj, pani Jadwiga, jak wiadomo, chora, bo w poważnym stanie, nie spostrzegła, że maż mietylko maluje, ale knuje... ucieczkę...

— Dokąd, czy ucieki?... — spytałem już niespokojnie.

— Wyjechał z nią, do... Ameryki...! Obraz nabył milioner, zostawił pani Jadwidze tysiąc złotych, a sam z resztą i... Zoś-

ką umknął... Już pewnie w New Jorku lub Chicago...

Tym razem ukrył głowę „Jeremiasz“ w dłoniach, aby okryć swą twarz, widocznie zbełała i bardzo współczująca z losem pani Jadwigi...

Mnie się przypomniała cała historia: Miłosz nieraz w natchnieniu, czy też rozmarzeniu, gdy siedział u niego w pracowni, mówił:

— Wiesz! Kobieta naszym przeznaczeniem! I nie myśl, by nią była żona twoja... Ta, którą kochasz, często zdaleka, ale musi się z tobą spotkać, a wówczas spełni się przeznaczenie twoje...

Nie zapomnę tych słów! Więc zagadka ich leżała w duszy Miłosza... On tak się bromił przed tem „przeznaczeniem - kobietą“, aż... dał obraz i okupił go życiem całym... Bo nie chcę wierzyć, aby był szczęśliwy w Ameryce z Zośką...

— Czy wiedzą o tem nasi znajomi? — spytałem.

— Wszyscy! a dziwię się, że pan nie wie!...

— Pisałem powieść, nie wychodząc z domu, a tylko czasem wieczorem do parku angielskiego... Tak, ja pisałem piórem, gdy Miłosz życiem i przeznaczeniem!...

Wyrwało mi się mimowoli, że „Jeremiasz“ spojrzał na mnie strasznie...

— Ale przeznaczenie winno być w nas samych! — odrzekł na to „Jeremiasz“

— Nie mogli go zwalczyć bogowie, cóż my, biedni ludzie... — próbowałem wytłómaczyć i ostatecznie osłabić dumną odpowiedź „Jeremiasza“.

Potem opowiadał mi, jak odwiedza znajomą panią Jadwigę, jak ją pociesza... Naturalnie czułem, że „Jeremiasz“ jest mi odstępny pocieszycielem...

— Pan zapewne też często tam przebywa?

— Myli się pan! Staram się pomóc w czem tylko mogę, ale nie chcę zobaczyć smutnej twarzy tej biednej kobiety...

— Widocznie i jej przeznaczenie...

— Nie mówmy już o tem! — prosił „Jeremiasz“.

Zapomnieliśmy w parę lat o tej historii Miłosza z Zośką, a straciliśmy ślad pani Jadwigi i Jeremiasza... Aż wrócił znów z podróży do swoich Kuszela, zawiadziwszy po drodze o wieś, skąd Miłosz i Zośka oraz żona lekarza pochodzili! Ten przywiózł nam wiadomość, że... Miłosz się utopił w oceanie, a Zośka, ratując go, zginęła też... „Jeremiasz“ ożenił się z panią Jadwigą, nie bojąc się przeznaczenia, bo je miał w sobie samym.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok IV.

Łódź, dnia 10 lipca 1927 roku.

Nr. 28.

Minister Spraw Wewnętrznych gen. Sławoj-Składkowski na inspekcji w Łodzi.



W dniu 18 ub. m. zawiął do Łodzi bicz wrogów czystości, minister spraw wewnętrznych, generał Sławoj-Składkowski, celem przeprowadzenia inspekcji sanitarnej miasta.

Zdjęcie nasze przedstawia ministra Składkowskiego z małżonką w towarzystwie naczelnika wydziału Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, p. Z. Zakrzewskiego, p. wojewody Jaszczolta, komendanta policji państwowej w Łodzi p. Ferstera oraz pp.: Scheiblera i Grohmana na dachu 6-go piętra fabryki Scheiblera.

Fot Aleksander Meyer

Teatralja.

Teatry warszawskie ku czci Słowackiego. O teatr lwowski. — Reinhardt w Pradze. — Pirandello kandydatem do nagrody Nobla.

Z pośród uroczystych widowisk, zorganizowanych w teatrach warszawskich w związku z powrotem prochów Juliusza Słowackiego do Ojczyzny, na plan pierwszy wysuwa się wspaniała zaiste inscenizacja „Samuela Zborowskiego“, dokonana przez L. Schillera w Teatrze Polskim. Mimo znaczne skróty tekstu, spowodowane najrozmaitszymi względami, inscenizacja ta, stanowiąca pierwszą próbę scenicznego urealnienia genialnych natchnień Wieszcza i olbrzymich Jego koncepcyj metafizycznych, wypadła w sposób prawdziwie imponujący, zbliżając liczne rzesze niewtajemniczonych w te objawienia poetyckie do źródeł najgłębszego poznania nauki Króla - Ducha.

Inwencja reżyserska pp. Schillera i Horzycy, stając z pochylonym czołem u wrót wielkości arcydzieła, nie ulękła się przecież śmiałej próby nadania mu plastycznego kształtu scenicznego, a próba ta, według jednogłośnej i sprawiedliwej oceny — wypadła jaknajbardziej dodatnio i owocnie. Wydobyto z „Samuela Zborowskiego“ nietylko cały jego koturnowy splot dramatyczny, ale wywołano jednocześnie i uzmysłowiono ducha tego dzieła wraz z idea, której jest reprezentantem. Szczęśliwe zharmonizowanie pierwiastków muzyki, światła, kombinacji i układów grupowych i wogóle wszystkiego tego, co stanowi zawartość t. zw. przestrzeni scenicznej, osiągnęło punkt szczytowy i ośniewający w odsłonie ostatniej (scena sądu), będącej, jak wiadomo i w koncepcji poetyckiej „Zborowskiego“ najwyższym szczyblem jej potęgi i wzniosłości. Ta ostatnia scena, ilustrująca walkę dwóch wielkich idei w duszy Twórcy, a zakończona syntezą o kosmicznej wprost sile wszechogarniania, sprawia w inscenizacji, o której piszemy, niezgłazone niczem wspomnienie — i każe tęsknić do takich czasów, gdy największe arcydzieła poezji polskiej nie będą w teatrach naszych pokarmem, jedynie w wielkie, raz na dziesiątki lat przypadające święta, podawanym.

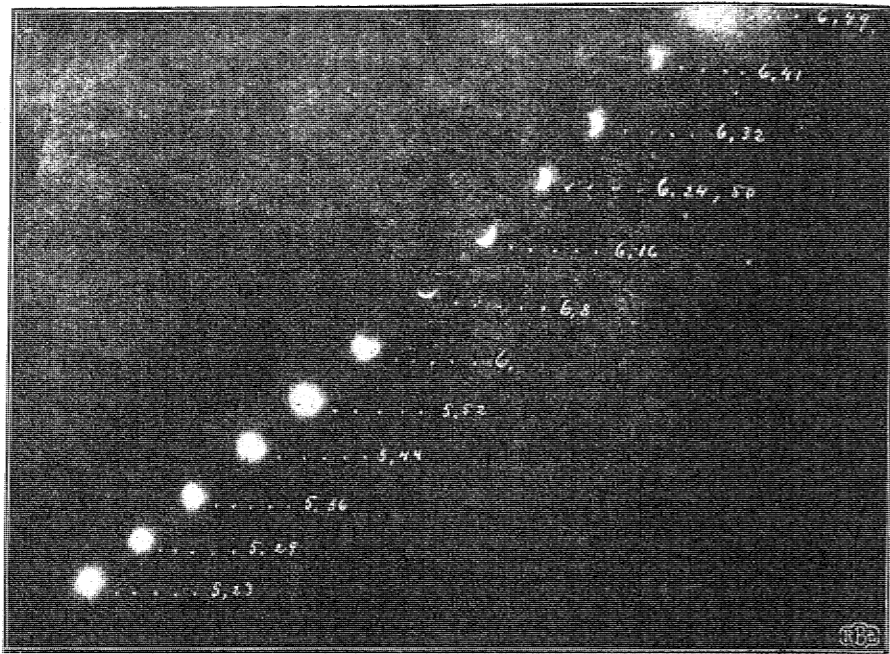
Świetna kreacja Adwentowicza w roli Lucyfera była należytą podporą twórczych wysiłków reżyserskich. Obok niego, pp. Buszyński, Maliszewski, Nowakowski i Malicka złożyli w swym aktorskim trudzie piękny hołd pamięci Poety.

Na bardzo wysokim poziomie stanęła również reprezentacja „Księcia Niezłomnego“ w Teatrze Narodowym. Zasługa to w pier-

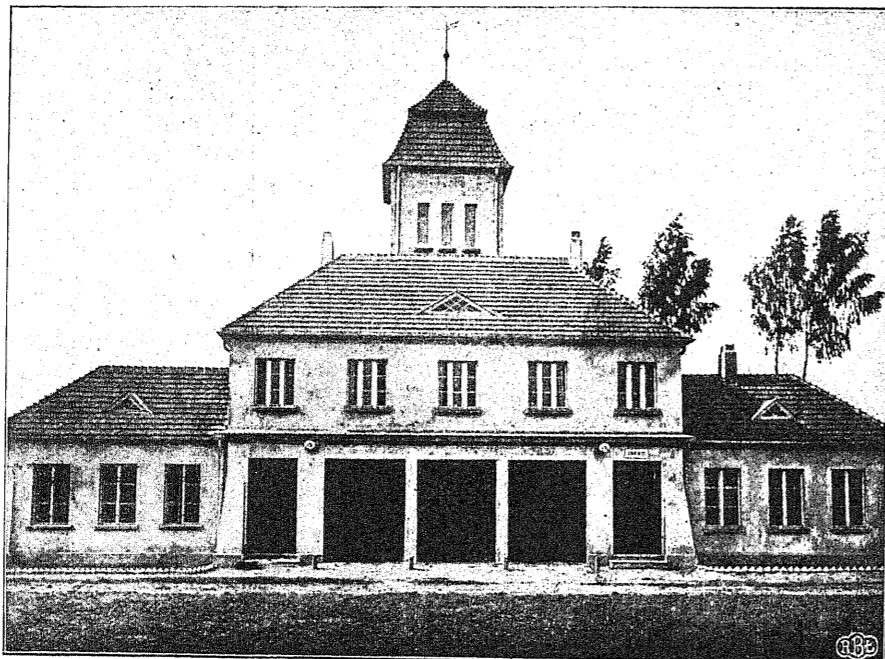
wszej linii Juliusza Osterwy, który prócz interesującej i pięknej koncepcji reżyserskiej, ujmującej całość widowiska w jednej odsłonie, bez przerw, dał również maximum blasku swego talentu i pracy aktorskiej jako Książę Niezłomny. Poemat bohaterstwa i poświęcenia, wyśpiewany przez Słowackiego w spizowych strofach tragedji rozebrzmiał ze sceny głosem dzwonu, targającego najszlachetniejsze struny dusz słuchaczy, dającego im chwilę najwznioślejszych i najsilniejszych wzruszeń. Muzyka

prof. Dołyckiego, dekoracje Drabika i bardzo dobra gra partnerów Osterwy (Gromnicka, Szymański Jan, Szymański Alfred i inni) dostroili się do tego wysokiego tonu, który tętni w dziele Słowackiego, zawsze świeży i krzepiący.

Odrębną nutę w akordzie dramatycznej twórczości Wieszcza, odrębną w stosunku do dwóch wyżej wspomnianych arcydzieł, stanowi „Złota Czaszka“, wystawiona w inscenizacji Solskiego w Teatrze Letnim. Ten fragmentaryczny, niestety, dramat szla-



Niezwykłe zjawisko niebieskie — zaćmienie słońca, — obserwowane również w Łodzi w dniu 29 ub. m. Na zdjęciu początkowe i końcowe fazy zaćmienia. Fot. A. Pippel



Na lotnisku łódzkim wykończony został całkowicie i oddany do użytku nowy budynek, przeznaczony na prywatne pomieszczenia dla lotników, stacjonujących na lotnisku pod Łodzią. Fot. A. Meyer

checki pozwala, narówni z „Mazepą“, „Beniowskim“, „Horsztyńskim“ poznać i zrozumieć poglądy Słowackiego na przeszłość narodową, komentowane do dziś dnia często zbyt jednostronnie i dowolnie, na podstawie drobiazgów tylko i ułamków całej twórczości Wieszcza. Górny lot natchnień nie odjął przecież Poezie zdolności do wnikliwego, realistycznego niemal spojrzenia wgląd historycznej, szlacheckiej przeszłości. I podkreślić należy, że od tej przeszłości nie odwraca się tu Słowacki ze wstrętem i niechęcią, lecz — przeciwnie — z miłością szuka w niej tego, co ludzi jednego narodu łączy i spaja na wieki. I właśnie dla tego celu — ukazania prawdy przeżyć i myśli Twórcy, wystawienie „Złotej Czaszki“ w dniach Jego święta miało doniosłe znaczenie. Zadanie to spełnione zostało tem lepiej i dokładniej, że zarówno Solski jak i wszyscy jego w tem dziele współpracownicy, uczynili co należało, by przedstawieniu nadać kształt, godny wielkości dni niezapomnianych.

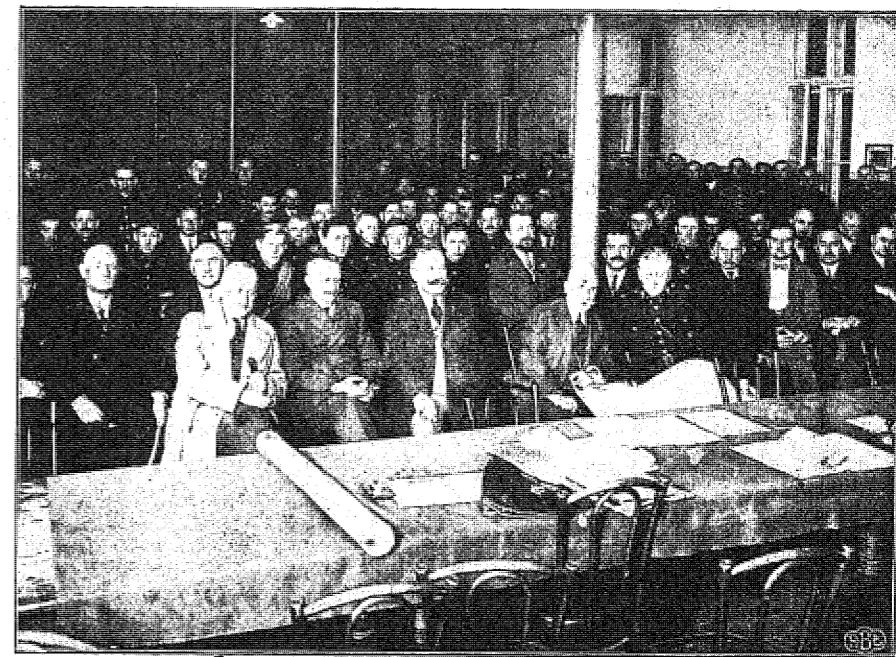
Przechodząc do prozy teatralnej, wypada zanotować, że los teatrów lwowskich, których zamierzone wydzierżawienie, obstarwione, jak pisaliśmy, drakońskimi iście warunkami, jest wciąż niezdecydowany. Niezdecydowany właśnie z tej przyczyny, że nikt absolutnie na te warunki się nie zgadza i zgodzić się nie może. W tej sytuacji, w sferach miejskich dyskutowana jest ostatnio poważna oferta dyr. Schillera z Warszawy, który jednak przechodząc do porządku dziennego nad pomysłami ojców miasta, proponuje jedynie objęcie dyrekcji teatrów, pozostawionych w zarządzie miejskim. Wymagałoby to reasumpcji poprzednich uchwał czynników komunalnych —

a czy to nastąpi — nie będziemy dziś przesądzać.

Wielką sensacją artystyczną w Pradze Czeskiej były 3 widowiska pantominy p. t. „Mirakl“, urządzone przez zespół Maxa Reinhardta; a przy udziale statystów i zespołów miejscowych. W pantominie tej, mającej za treść piękną legendę o grzesznej zakonnicy i N. Marji Pannie, główna rola przypada tłumom oraz dwom postaciom kobiecym, z których jedną gra lady Manners, arystokratka angielska. Pantomina, inscenizowana przez Reinhardta na sposób cyrkowy, amerykański, to znaczy przy wciągnięciu w akcję — widowni oraz

wypukleniu przedewszystkiem wszystkich momentów formalnych. Zabija to głęboka myśl legendy, sparafrasowanej pięknie w literacki sposób, przez poetę Volmoellera i muzyka Humperdincka. Chociaż w Ameryce ten „Cud“ Reinhardtowski cieszył się ogromnym powodzeniem i grany był np. w N. Jorku 300 razy, jednak publiczność praska przyjęła widowiska „Miraklu“ bez wielkiego zapachu, tak, że w rezultacie grożą Reinhardtowi procesy na tle niedotrzymania zobowiązań finansowych.

Delta.



Łódzka Straż Ognicwa Ochotnicza czyni starania zmierzające w kierunku wprowadzenia niezwykle doniosłej dla pożarnictwa inowacji w postaci elektrycznej sygnalizacji przeciwpożarowej. Na zdjęciu doroczne zgromadzenie członków Ł. S. O. O., na którym omawiano powyższy projekt.



Członkowie Towarzystwa Przyrodniczego w Łodzi odbyli wycieczkę samolotem z lotniska L. O. P. P. Zdjęcie przedstawia moment zajmowania miejsc w kabinie. Fot. A. Meyer.



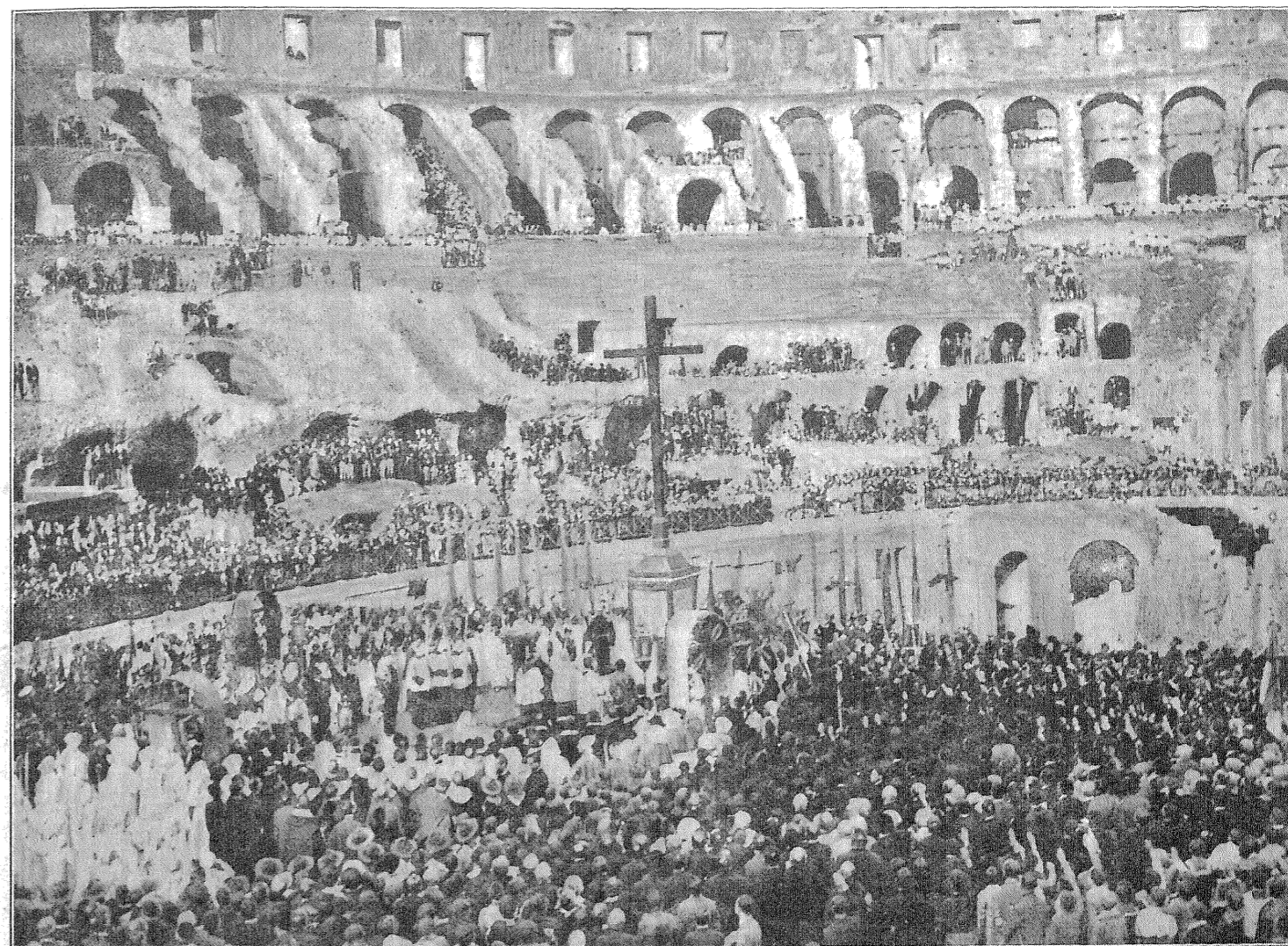
Młodzież w łódzkiej prochy piewcy Króla - Ducha. Grupa uczeni: gimnazjum żeńskiego E. Krygierowej w Łodzi biorąca udział w uroczystościach sprowadzenia zwłok Juliusza Słowackiego.



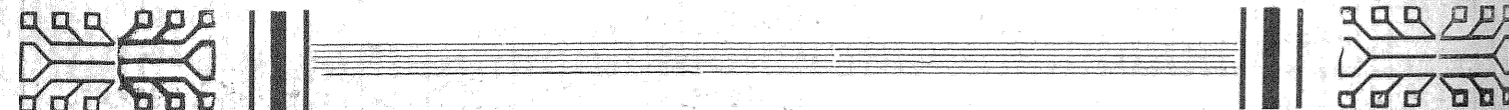
W krainie Dziesiątej Muzy. Na gorących piaskach pustyni towarzystwa filmowe wnoszą prowizoryczne miasta, które służą operatorom filmowym za tło oraz miejsce rozwijającej się akcji w filmie. Na zdjęciu ekspedycja operatorów filmowych oraz konny oddział artystów, biorących udział w grze w okolicach miast prowizorycznych.



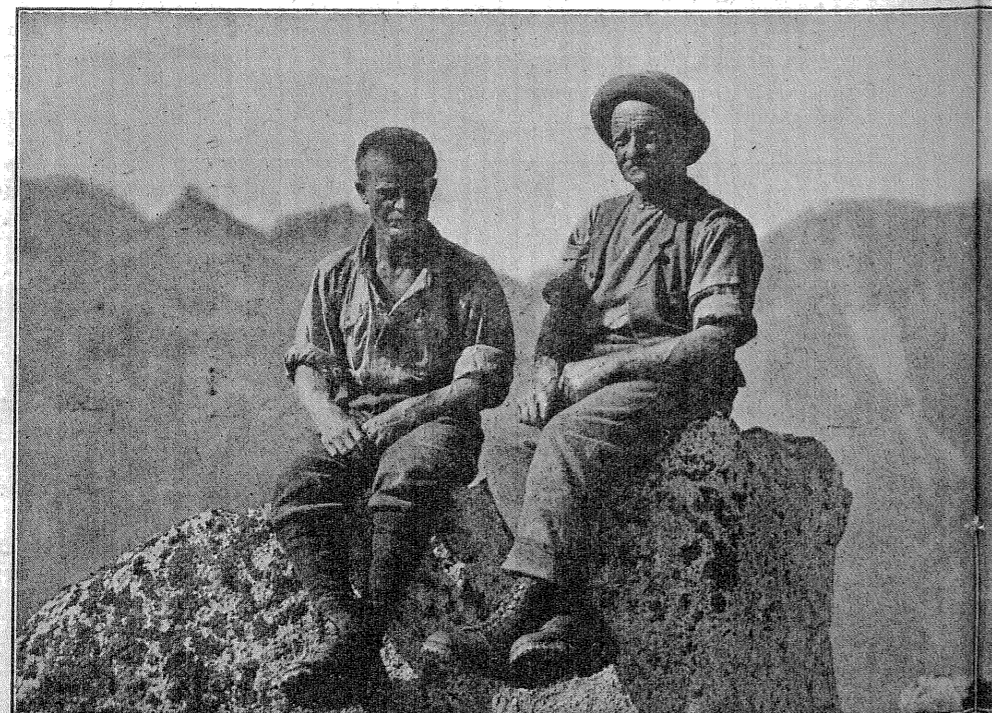
Ostatnia podróż Juliusza Słowackiego do ojczyzny. Nabożeństwo żałobne w kościele Wniebowstąpienia w Paryżu.



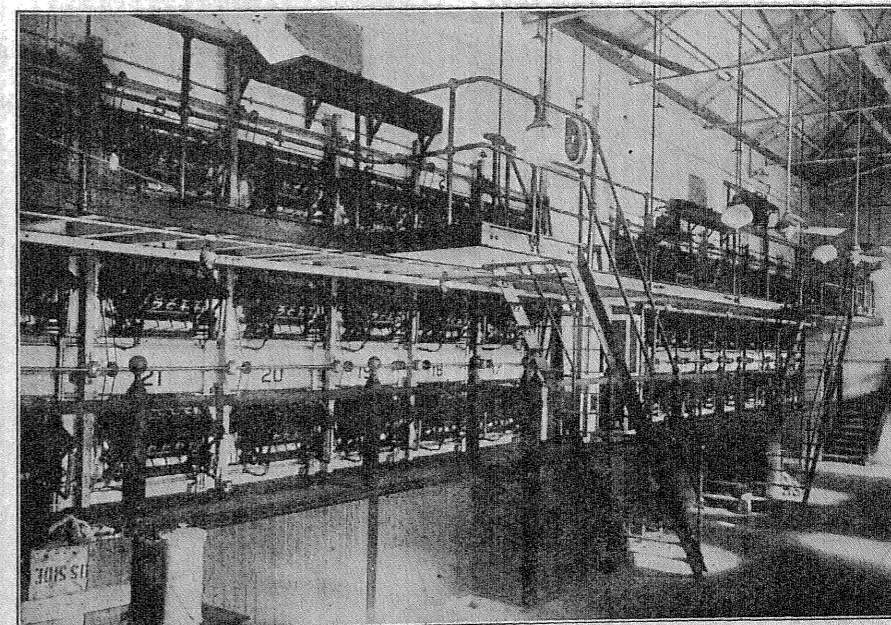
Uroczyste wzniesienie Krzyża w Colosseum rzymskim.



Rewja milicji faszystowskiej w Rzymie. Dyktator Włoch na czele starszyny dokonywa przeglądu.



Wśród podniebnych szczytów Alp. Dwaj turyści szwajcarscy na górskich wyżynach kują z zasłużonego odpoczynku.



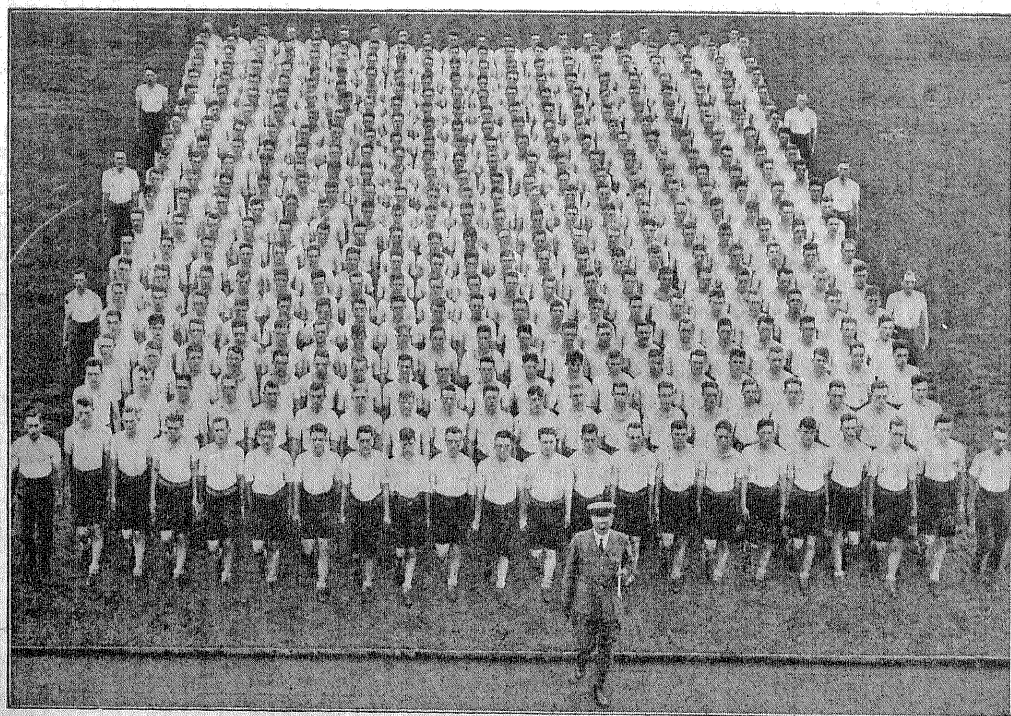
Totalizator w Longchamps. Sala, w której automatycznie notowane są wpłaty na każdego konia.



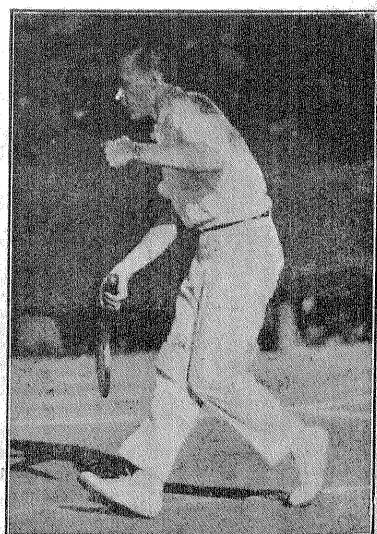
Laponka z dzieckiem w oryginalnej kołysce.



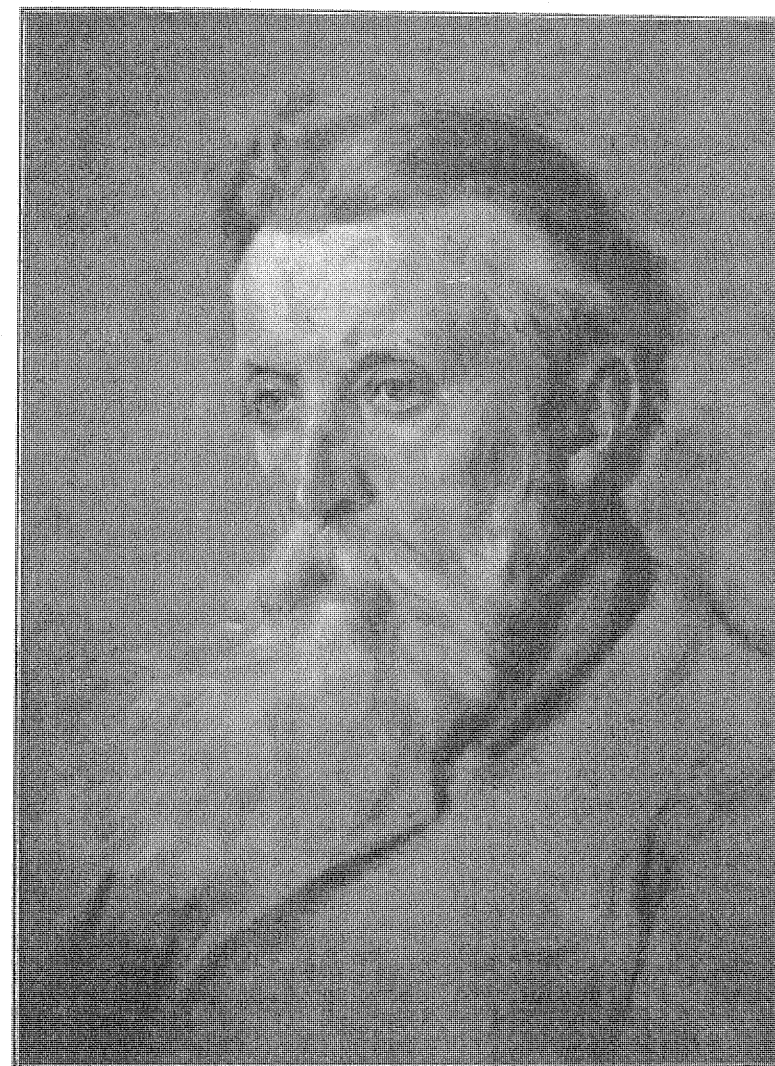
Wspaniały moment z błyskawicznej jazdy na motocyklu. Bagshave, student Uniwersytetu Oksfordzkiego w szosowym biegu drużynowym.



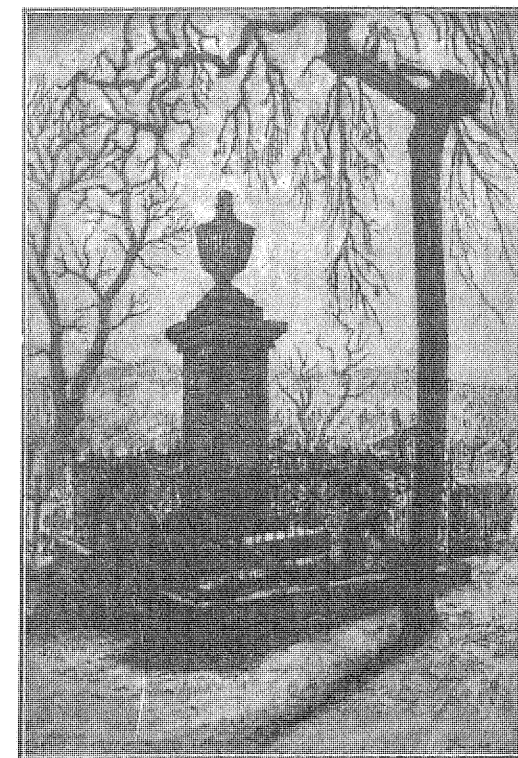
Problem wychowania fizycznego u narodów obcych. Drużyna ćwiczebna angielskiej młodzieży męskiej w kolumnowym marszu na boisko londyńskie.



Jerzy Stolarow, mistrz Polski w tenisie w grze podwójnej i mieszanej, zdobył ostatnio mistrzostwo Warszawy i Poznania.



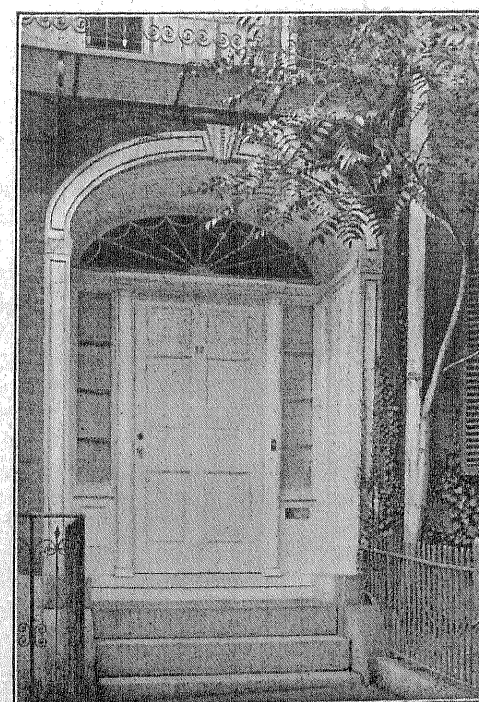
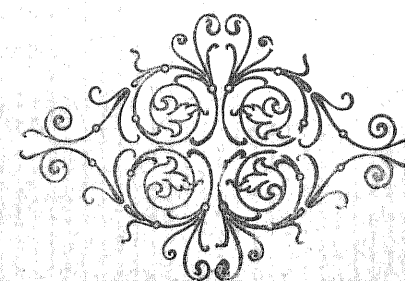
Laureat m. Łodzi. serżant piśmiennictwa polskiego, Aleksander Świętochowski. Dzieło art.-mal. K. Mordasiewicza.



Pomnik na grobie matki Juliusza Słowackiego w Krzemieńcu.



Słynna para tancerzy: Mac Dan i miss Ewy na występach w Zakopanem.



Stary Boston. Charakterystyczne odrzwia.



Przepiękny gmach hotelu „Bristol“ w Zakopanem, miejsce spotkań high-lifu.

Figiel w klubie.

Jako młody człowiek byłem członkiem Klubu Bezdomych w Buenos - Aires. W luksusowo umeblowanych pokojach grało tam w karty, przeglądało pisma lub obiadowało kilkudziesięciu wyfraczonych gentlemanów kilkunastu narodowości. Ban kierzy, dziennikarze, kupcy, dyplomaci, malarze, prezydeni i radcy grywali w baka i pokera do białego rana.

W tym to klubie zawarłem znajomość z trzema wytwornymi panami: prezydentem, profesorem i pułkownikiem. Dziś jeszcze z dumą wspominam naszą zażyłość, gdyż ja byłem wtedy prosto żółtodziobem, a oni dojrzałymi mężczyznami, bohaterami wielkich łowów, rewolucyj, awantur miłosnych, politycznych zamieszek i wydarzeń naukowych.

Nie wiem, dzięki czemu faworyzowali mnie ci mężowie, częstowali papierosami, likierem i dobrimi radami. Żałuję, że ich nie posłuchałem — może lepiej byłoby mi w życiu — ale każdy ma swoje poglądy i zwłaszcza w młodości broni ich z zaciętym uporem.

Nie znam, niestety, nazwisk moich przyjaciół. W klubie zwracał się każdy do prezydenta per „panie prezydencie“, choć nikt nie wiedział, czemu właściwie przewodniczył. Był prezydentem — i basta, tak samo jak pułkownik był pułkownikiem, choć zawsze chodził w cywilnym ubraniu. Gdzie i jaki przedmiot wykladał profesor, również nie było nikomu wiadomem. Klub interesował się tylko tem, kto wygrywa — bank czy gracz.

Trudno mi więc było, będąc zaprzyjaźnionym z temi trzema gentlemanami, dopytywać się o ich nazwiska.

Pewnego pogodnego wieczoru jedliśmy w czwórkę kolację na tarasie klubowym. Byliśmy w różowych humorach i opróżniali baterję butelek.

Około godziny 11-tej taras opróżnił się. Bezdumni poszli do salonów gry. Pułkownik rozejrzał się wokoło, spojrzął na zegarek i z szatańskim śmiechem oświadczył:

— Moi panowie, mam świetny pomysł. Dziś jest 31 marzec — za godzinę będzie pierwszy kwiecień. Spłatajmy Bezdonym prima - aprilisowego figla.

— Doskonale! — przytaknął prezydent. Profesor skinął głową w milczeniu, a ja nie mogłem ukryć swej radości.

— Ale jaki figiel? — spytałem.

Prezydent po namyśle rzekł:

— Czy panowie mają przy sobie rewolwer?

Było zwyczajem pięknym i ustalonym Klubu Bezdomych, że garderobiany rewidował dokładnie wchodzących i odbierał im rewolwery i szczyryki. Przyczyniało się to do dobrej opinii społeczeństwa o klubie.

To też pytanie prezydenta zdumiało mnie. Któż mógł mieć rewolwer?

— Ja mam. — powiedział pułkownik.

— I ja! — dodał profesor.

Prezydentowi rozjaśniła się twarz.

— To dobrze. Ja mam dwa, mogę więc pożyczyc jeden naszemu młodemu przyjacielowi.

Z temi słowy wcisnął mi browning do ręki.

Pułkownik zajrzał przez okno do nieoświetlonej czytelnii, poczem dobył zegarek.

— Pół do dwunastej. Zawczasem. Kawał możemy zrobić dopiero w kwietniu. Teraz więc chodźmy do salonów i pokręcimy się między klubowcami, a trzy na dwunastą spotkamy się w ciemnej czytelnii.

— Ale jaki mamy plan? — spytałem.

— To się już zobaczy. Narazie chodźmy...

W salonach wrzała szalona gra. Przed pewnym handlarzem skór z prowincji piętrzyły się tysiące pesosów, a lord Notapenny usiłował sobie pożyczyc w kącie od lokaja pięćdziesiąt pesos.

O umówionej godzinie spotkaliśmy się w czytelnii. Pułkownik dał nam coś z czarnej jedwabiu i powiedział:

— Wciągnijcie to na głowy.

Uczyniliśmy tak wszyscy. Były to dobrze znane z romansów i filmów kryminalnych maski, kryjące twarz, włosy i zarys głowy, a pozwalające patrzeć jedynie przez dwie szparki.

Prezydent odgadł widocznie plan pułkownika, bo poklepał go z zadowoleniem po ramieniu, mówiąc:

— Pysnie, pysnie!

— O północy wpadamy do sali bakaratowej i pod groźbą rewolwerów zabieramy bank.

Profesor śmiał się, a ja byłem serdecznie rozbawiony.

Właśnie zegar wybił dwunastą. Wbiegliśmy do salonu za pułkownikiem, który krzyknął:

— Ręce do góry!

Prezydent skoczył do kontaktu elektrycznego, aby nikt nie mógł zgasić światła, a profesor stanął przy drzwiach do sali pokerowej. Ja broniłem drzwi wejściowych, z wewnętrznym chichotem grożąc wkoło rewolwerem.

Trudno sobie wyobrazić zabawniejszą sytuację. Członkowie klubu zbaranieli! Handlarz skór z prowincji wyciągnął rękę do swego stosu złota, ale natychmiast, zalekniony, podniósł ją do góry. Pułkownik wziął kosz od papierków i zgarnął do niego wszystkie pieniądze ze stołu, poczem gardłowym głosem krzyknął:

— Odwrócić się plecami do drzwi. Kto się ruszy, będzie zastrzelony!

Żadnemu z nieszczęsnych bezdomych nie wpadło do głowy, że to jest pierwszy

kwiecień i że pułkownik tylko żartuje. Usłuchali rozkazu i znosili cierpliwie, jak prezydent i profesor przeszukiwali im kieszenie, zabierając portfele, papierosnice, zegarki, pierścionki i szpilki z krawatów. Gdy już skończyli to plondrowanie, pułkownik zgasił światło i znacznie uprzejmiej powiedział:

— Pan bankier będzie łaskaw liczyć głośno do dwustu. Potem zniknął za drzwiami i zamknął nas na klucz. Mówię: „nas“, bo gdy za profesorem i prezydentem ja także chciałem się wymknąć, odepchnęli mnie — prawdopodobnie przez roztrzępanie. Miałem zaledwie dość czasu zerwać z głowy maskę, rzucić ją wraz z rewolwerem na ziemię i stanąć, jak inni, plecami do drzwi. Tymczasem bankier doliczył do dwustu, klubowcy zapalili światło i z wściekłymi okrzykami wybiegli przed dom. W innych pokojach również przerwano grę, wszyscy byli do najwyższego stopnia podnieceni, zatelefonowano po policję — i dopiero teraz wpadło mi do głowy, że figiel był może nieco przesadzony, wyszedłem, aby poszukać moich przyjaciół, ale nie było ich nigdzie. Zapytany portjer oświadczył, że niedawno wyszli w świetnych humorach, zaśmiewając się poprostu.

To mnie uspokoiło, i widząc coraz większą rozpacz Bezdomych postanowiłem odkryć im figiel pułkownika jeszcze przed przybyciem policji. Podeszedłem do handlarza skór z prowincji, który najgłośniejszą awanturował, i powiedziałem:

— Niech się pan nie martwi o swoje pieniądze. Czy nie wie pan, że dzisiaj jest pierwszy kwiecień?

— Pierwszy kwiecień?

— Oczywiście. Był to prima - aprilisowy figiel kilku wesoło usposobionych gentlemanów...

Wydało się to wszystkim prawdopodobne i zaczęli się uspokajać. Otoczyli mnie i wypytywali, a ja, odurzony powrotem opowiedziałem cały przebieg. Kilku zaczęło się głośno śmiać. Byli pewni, że nasi przyjaciele jeszcze tejsze nocy zwrócą zabrane skarby.

Gdy po ośmiu miesiącach wypuszczono mnie z więzienia i zjawiłem się w Klubie Bezdomych, członkowie patrzyli się na mnie krzywo. Do dzisiejszego dnia nie wiem dlaczego. Tylko lord Notapenny wdał się ze mną w rozmowę i chciał sobie pożyczyc dwadzieścia pesos. Po kilku minutach odwołał mnie przewodniczący i poprosił, żebym się więcej nie pokazywał w klubie. Uraziło mnie to ogromnie. Nigdy bym nie przypuszczał, że Argentyńczycy są tak drażliwi... Bardziej mnie jeszcze bolało, że nigdy już nie spotkałem mych dobrych przyjaciół: pułkownika, prezydenta i profesora. A tak mnie lubieli! Żebym choć znał ich nazwiska...

Tłum. Ir.



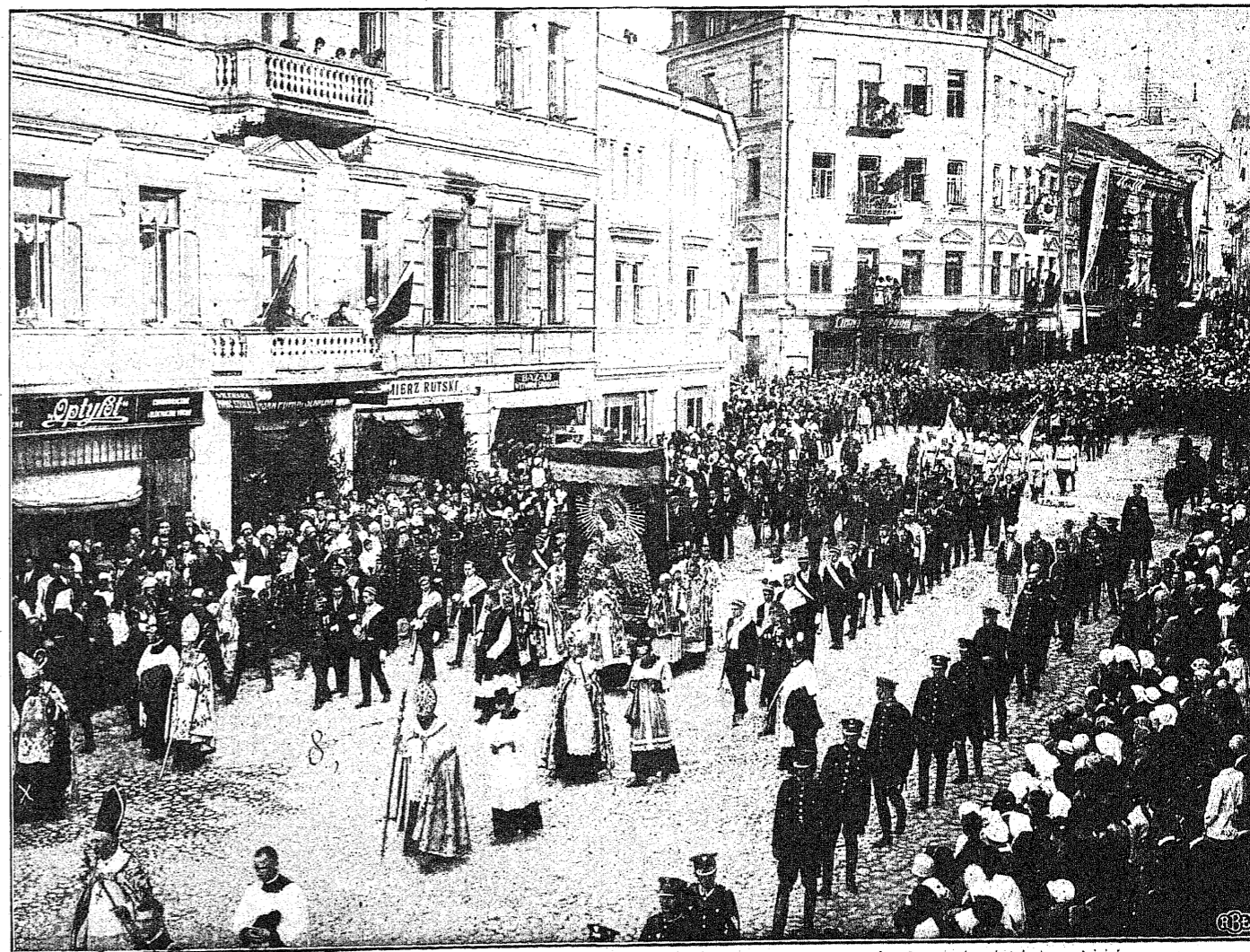
DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

№ IV.

Łódź, dnia 17 lipca 1927 roku.

№ 29.

Łódź na uroczystościach M. Boskiej Ostrobramskiej w Wilnie.



W uroczystościach koronacji cudownego obrazu Matki Boskiej Ostrobramskiej w Wilnie, w dniu 3-im lipca r. b. wzięła również gremjalny udział Łódź. Na czele z J. E. ks. biskupem dr. Tymienieckim i licznym gronem księży wyruszyła z Łodzi pielgrzymka, złożona z 300 osób, by oddać hołd N. M. P., przed której cudami słynącym obrazem wraz z pielgrzymami z całej Rzplitej zamieszkała gorące modły do Królowej Korony Polskiej.

Na zdjęciu manifestacyjny pochód pielgrzymów i duchowieństwa, miasącego cudowny obraz Matki Boskiej. Na czele pochodu, w gronie wysokich dostojników Kościoła, kroczy Pasterz diecezji łódzkiej, J. E. ks. biskup Tymieniecki. (X)